Lwów. 4. Grudnia №144. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr. **20** kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr. za następ. po **1 ½** kr. i za do płatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

KRÓL DZIADÓW.

V.

Bal w miasteczku.

(Ciąg dalszy).

Od czasu do czasu biegały to jedna to druga, niedowierzając własnym oczom, to na kurytarz, to na dziedziniec, to nawet do samej modniarki. A każda miała dobry pretext, bo się tam kończył nie jeden jeszcze stroik, mający być wystawionym wieczorem na powszechną admiracją.

— Poczekaj! ja teraz pójdę! mówiła gospodyni najczęściej, i zatrzymując drugie, sama najczęściej wybiegała na te wywiady. Przy każdej sposobności przyjaciołki spoglądały na siebie z pod oka. A nawet jak poszła, odzywały się chichoty, chusteczkami tłumione.

Dla czego? tego nie wiem; to wiem tylko, że ile razy przebiegła przez kurytarz, każdym razem zatrzymywała się przy schodkach, prowadzących do onego belwederu, na strychu wystawionego. Zapewne jako dobra gospodyni chciała się przekonać, czy schody zamiecione, i czy wszystko w porządku. Bo juźciż warto dbać o takiego czynszownika, jakiego miała w osobie pana respicjenta. Był to niedawno przybyły młody i wcale przystojny mężczyzna, pełen talentów, bo nawet czule bardzo dmuchał w czakan. Przytem wieść niosła, że jest bardzo dobrze urodzony, choć się nazywał Hektor Bums, i że miał mieć jakieś znaczne pieniądze w szparkasie, złożone przez jakiegoś tajemnego opiekuna. Płacił dobrze i był tak grzeczny dla gospodyni, tak bardzo grzeczny, że szanowna naczelniczka profanek, chętnie byłaby otworzyła nową jakąś sektę browarniczą czy gorzelniczą, by mieć więcej do czynienia z panem respicjentem. Lecz i słońce ma plamy. Mimo całej grzeczności, mimo słów nieraz do niej wymówionych, pełnych głębokiego uczucia, mimo nawet jednej fantazji, którą raz z swej górnej altanki wydmuchał z akcentem tak wymownym, tenże sam pan Bums bywał grzeczny dla Piotruni, i miał dla niej i słówka i spojrzenia i czułe podmuchy czakanowe.

Raz nawet gdy stanąwszy przy schodach, przypadkiem zapewne głośniej korkiem swym stuknęła, pojawiła się na górze głowa z faworytami w aksamitnej czapce z kutasem. i z poza drzwi wymknęła się ręka i pobiegła ku głowie, a potem od ust ku przebiegającej gospodyni wysłała pokłon, towarzyszony spojrzeniem ognistem ciemnego oka. Aż zadrzało czułe serce Klimuni, i zaczęła się nawet litować nad Piotrunią.

Biedna Klemuniu! coby się z tobą stało, gdyby ci kto teraz szepnął tę samę tajemnicę, którą właśnie w tej chwili Krajkowski szepnął twojemu mężowi.

Owoż gdy znowu po długiej i hałaśliwej zgromadzonych pań debacie, wyszła aptekarzowa na zwiady, z pewną dumą spojrzała ku schodom. Spojrzała i gdyby nie szczotka do zamiatania w kącie stojąca, o którą się oparła, byłaby upadła niezawodnie!... Ależ bo rzecz okropna! niesłychana!...

Na drugim czy nawet trzecim już schodzie stała Piotrunia w własnej osobie, i pan Bums w tej samej czapce z kutasem. I patrzyli na siebie tak jakoś poufale, i tak bez najmniejszej żenady, że biedna Klemunia nie mogła powstrzymać wykrzyknienia, w ktorym się mieścił i cały jej żal i całe oburzenie....

Na to odwróciła się Piotrunia, i nie tracąc fantazji bynajmniej, zawołała wesoło i z uśmiechem:

— A to ty Klimuniu....

— To pani, odpowiedziała Klimunia, przymuszając żywe swe oczy do jakiegoś suchedniowego spojrzenia.

— Do ciebie właśnie idę....

— Z góry!...

— A juźciż z góry! od nas, ze dworu! odrzekła śmiejąc się pustym śmiechem.

Klimunia miała prawdziwie ochotę od dawna nie mianą, przeżegnać się.

— No, do widzenia się!.. mówiła dalej Piotrunia, zwrócona do respicienta, który także nie miał zupełnie miny pomieszanej. Tylko prędzej!.. prędzej!.. bardzo proszę.

I dokończyła mowy takiem samem pozdrowieniem, jakie Klemunią przed kwadransem zdybało z wysokości belwederowej. Co by dała Klemunia za to, gdyby to można było drapać oczy!...

— A teraz biegnę do ciebie co prędzej moja dobra Klemuniu, bo chciałam ci coś pokazać.

I teraz dopiero postrzegła Klimunia jakieś lekkie w palcach trzymane zawiniątko, z chusteczki białej zrobione.

Nowy przestrach!.. bo doświadczone oko pani Beczyńskiej odgadło jakiś strój. Nie było wszakże czasu do zimnej rozwagi, bo Piotrunia porwawszy Klimunię za rękę wpadła z nią jak bomba między zadziwione panie, które tego pojąć nie mogły, że w czasie gwarliwej ich narady, ta ná którą czatowali, wpadła niepostrzeżona do domu.

— Dobrze że tu was zastaję, które jesteście znawczynie, dodała zwrócona do drugich, lekkiem je witając kiwnieniem.

Wszystkie ją otoczyły. Klimunia szła jak na stracenie, bo jej serce świeżą zdradą dotknięte, przeczuwało coś okropnego.

— Patrzcie! mówiła Piotrunia, i lekko a zgrabnie z chusteczki wydobyła czypek nowy, paradny, strojny.

— Ach! wyleciało z wszystkich ust. W tem ach! było zarówno tyle bolu jak i podziwu.

Bo to był czypek, ale jaki czypek! Ja co tyle rzeczy umiem opisywać, nie zdołam opisać czypka: ale możecie mi państwo wierzyć na słowo, że to był czypek na! czypki, taki to tam był dobór i wstążek i tiulów i koronek... A krój!.. a gust!.

Musiało to być cudowne wszystko razem, bo twarze pań patrzących wyglądały jakby po zażyciu niesmacznego lekarstwa.

— To ze Lwowa!

— Ze Lwowa! mruknęły wszystkie przerażone, przypominając sobie swoje dzisiejsze stroje, przerabiane ze starych na wzory, które już dawno całą przebiegły okolicę.

— Tatko kochany sprowadził i dla mnie i dla siostr wszystkie stroje nowiuteńkie ze Lwowa.

— Ze Lwowa! jękły w około grobowym głosem.

— Od Błotnickiej!

— Od Błotnickiej! powtórzyły.

Cud to był wielki, że żadna nie zemdlała. Pokazały tym razem Niżyńczanki potężną siłę charakteru. Ale co się działo w ich sercach, to chyba opiszą ci mężowie tych pań, którzy mieli szczęście wpaść pierwsi pod oczy swoich połowic.

— Tatko niczego nie żałował na dzisiejszą uroczystość.

— Uroczystość? krzyknęły wszystkie. To słowo zgalwanizowało wpół umarłe.

— A prawda! że wy nic nie wiecie moje kochane panie, przemówiła Piotrunia. Spieszcie się! spieszcie się! do widzenia się! I roześmiawszy się głośno, zawinęła cudny czypeczek i znikła jak senna mara.

— Jak poczwara, mówiły wszystkie oczy patrzące na nią.

Snać niema w Niżyńcach uroczych oczów, bo Piotrunia byłaby padła trupem.

Milcząc zniosły Niżyńczanki cios tak srogi, i nic do siebie nie przemówiwszy, bojąc się każda dotkliwego jeszcze w takiej chwili pożałowania, rozbiegły, by się prędzej postroić i pogonić na tę *uroczystość*, godną sukień i czypków z samego Lwowa, od samej pani Błotnickiej.

VI.

Niespodzianki balowe.

Ledwie godzina minęła zaczęły się sypać ze wszystkich dworków roje gości i ciągnęli na górę. Pomału zapełniały się pokoje dworu Niżynieckiego. Dwór ten postawiony z początku na folwark, zwiększał się ciągle nowemi dobudowaniami, których nie mało przybyło za teraźniejszego komisarza. Zewnątrz też dla tego wyglądał wcale nie okazale, ale zato wewnątrz był obszerny, wygodny, a nawet umeblowany dosyć porządnie; mianowicie jedna jego strona, przeznaczona dla dziedzica na przypadek jego przybycia, umeblowana z gustem i zbytkiem nawet.

Dziedzic, który lubił pana Krajkowskiego, pozwalał mu używać tego pomieszkania w razie większych zjazdów, to też gości naszych miasteczkowych widzimy zgromadzonych w tych pokojach, które zawsze wielkie robiły wrażenie na panach i paniach Niżynieckich, usiłujących małpować wytworne onych umeblowanie. Salon bawialny osobliwie, obszerny, z posadzką i aksamitem obite sprzęty, natężał umysły naśladujących niepospolicie. I każdemu z nich zdawało się, że mniej więcej dobrze naśladował; parę tylko marmurowych głów i porcelanowych urn, były rozpaczą pań, że im były za drogie, a panom, bo ich małżonki niemało im za to głowy nasuszyły. Ozdobne te i drogie sprzęty były wiecznym wyrzutem małżeństw Niżynieckich. A chociaż z tego powodu ciągłej doznawali i doznawały zgryzoty, wszyscy cisnęli się chętnie do tego salonu, i mieli sobie za niepospolity zaszczyt i niemałą przyjemność, oglądać swoje świąteczne twarze i stroje w pysznych źwierciadlach, i podziwiać z nosami do góry wzniesionemi, ogromną bronzową żyrandolę, mnóstwem źwierciadełek błyszczącą, lub oprzeć się o marmurową kolumnę i kapelusz zasadzić na który z biustów po kątach stojących.

Państwo Krajkowscy chcieli widocznie wystąpić dnia tego, co wzbudzało rozmaite między gośćmi szepty, na poły podziwiające, na poły krytykujące. To połowiczne uczucie jest podobno wspólne wszystkim na świecie gościom, czy się na nich wielkie miasto, czy małe zbiera miasteczko. Wystawa w przyjęciu aczkolwiek wielka, nie wytrzymałaby surowej krytyki, bo jak to zwykle bywa po takich wiejskich i małomiejskich balach, trafiały się rozmaite sprzeczności, sztukujące łojówkami stearynowe oświetlenie, lub zastępujące brakującą służbę parobkami, awansowanemi na

łokai, lub nawet dziewkami, uwijającemi się niezgrabnie ale z uśmiechem, z rozmaitemi przyborami po ślizkiej, często dla nich niebezpiecznej posadzce.

Lecz nie będziemy ich wymieniać, bo w całem tem przyjęciu widoczna gościnność serdeczna, ta gościnność, którą słusznie przez wieków wiele nazywano staropolską cnotą, i która przechodząc z pańskich pałaców i zamków do szlacheckich dworów i zaściankowych dworków, tak po mału znikła, że ją już dziś rzadko zdybać, i to chyba w dworkach uboższej szlachty, u której stare przysłowie, czem bohat, tem rad, istotną jeszcze jest prawdą. Ale gdzie ją jeszcze zdybie, tam jest ona w całej swej okazałości, w całej szczerocie szlacheckiej, która prawdziwie chwyta za serce, jeżeli się ma serce do takich błahych rzeczy. Jest w tej gościnności coś rzetelnie rzewnego, bo ona przypomina niepowrotną przeszłość, wraca nas w dawne nie tylko szlacheckie, ale i szlachetne obyczaje i sympatycznym węzłem choć na chwilę wiąże coraz więcej rozrywające się u nas ogniwa naszego rodzinnego społeczeństwa. Mimo krytyki złośliwej i trudniejszej do zbicia krytyki ekonomiczno-politycznej, jak tu mieć za złe poczciwemu szlachcicowi, jak tu się nie rozrzewnić, widząc jak on z serca, możnaby na prawdę powiedzieć, karmi i poi gości własną krwią.

Takiem było przyjęcie poczciwego Krajkowskiego. Wielu u niego bywało, piło jego zdrowie, żywiło się jego obiadami smacznemi i rzęsistemi, a jakże mało z tych chce dziś o tem pamiętać. I czy kogo głowa zaboli, gdy mu przypadkiem przyjdzie do pamięci, że gdy powiał na niego los niefortunny, stary, owdowiały, pozbawion dzieci, które rozbiegły się po szerokim świecie, nie mógł znaleść przyjacielskiego kącika, by starą i znużoną głowę do ostatniego spokoju złożyć. Już to podobno taki los wszystkich poczciwych Krajkowskich, że umierają gdzieś w komornem, na burku, zapomnieni jeżeli nie ogadani.

Lecz nie smućmy sobie wesołej chwili smutnem rozpamiętywaniem zwykłej doli ludzkiej. Dzisiaj u państwa Krajkowskich huczno i wesoło, dzisiaj wszystko idzie serdecznie z obojej strony. Cała liczna rodzina poczciwego komisarza była na usługi gości; córki i synowie uganiali to tu to tam, by wszystkim było dobrze i wesoło. Mówiłem już podobno, że sam był z mazurów, i cała jego rodzina miała jeden typ prawdziwie mazurski, rubaszny, śmiejący się, tupający.

To też warto było widzieć, jak wszystkie panny, a było ich trzy na wydaniu, tupały na wyścigi po woskowanej posadzce, potrącając się nieraz, przyczem i gościom się czasem dostało; ta po kluczyki do matki, tamta przemykając z jakimś półmiskiem zapomnianym, ta z ogromnym kielichem i większym jeszcze chlebem domowym, chlebem woniejącym, jak tego żadne dziś naśladowania ciastowe nie potrafią. A przebiegając żwawo i raźnie po sali, uśmiechem i spojrzeniem witały znane sobie twarze lub słowem ochoczem do mężczyzn rzuconem, dawały nadzieję wesołych tanów wieczornych, wybierając już naprzód wyrazistszym wzrokiem milszych tancerzy, tych do mazura, a i tych podobno do mazura, bo już to u Krajkowskich niema nad mazura. Ten jeden taniec jakoś im szedł od serca prosto w nogi; a inne, to dla tej mody przeklętej, ktora wszędzie się wśrubuje, i najpoczciwsze nogi polskie najnieznośniej przekręca do jakichsić zamorskich tańców, które ni przypiąć ni przyłatać do naszych ruchów narodowych.

I pani Krajkowska sama nie dała się córkom wyścignąć w obowiązkach gościnnej gospodyni. Mówiliśmy już że wyszła z domu zamożniejszego i znakomitszego, i przyniosła w dom mężowski wychowanie więcej nieco pretensjonalne. To też jak dzisiaj tak i zawsze można było w niej dostrzedz jakieś lekkie popędy do pewnej ceremonialniejszej etykiety, wnet zahukane i zastukane przez rubasznych: męża, synów i córki. A choć czasem chciała na prawdę postawić przy swoich wyobrażeniach o pewnej towarzyskiej przyzwoitości, to syn się tak szczerze zaśmiał, ojciec tak z mazurska połajał, a córka tak głośno od serca pocalowala, że się w końcu sama uśmiechnęła, i do całorodzinnej rubaszności, nie cierpiącej żenady, skłaniała się. To też kto by był dawniej znał pannę Henrykę, wchodzącą na pierwsze salony, nie byłby jej poznał dzisiaj. Jednem słowem choć na Rusi urodzona, stała się istną mazurką i nawet z mazurska zacinała, z niemałą męża i dzieci pociechą.

Trudniejszą była dla niej przemiana wyobrażeń o domowej ekonomice. Obdarzona nie tylko sercem najpoczciwszem, ale i zdrowym rozsądkiem, chciałaby była koniecznie i gospodarstwo i domowe życie sprowadzić w jakiś ład; nieraz starała się zaprowadzić jakiś praktyczniejszy stosunek pomiędzy dochodami a wydatkami, przewidując zły koniec tego wesolego życia bez myśli o jutrze. Gdzie tam! próżne były jej usiłowania. Kassandrą była w rodzinie Krajkowskich z swojemi przewidzeniami. A ład zaprowadzić z mężem, z dziećmi!.. Jak kura co kaczęta wodzi, daremnie biegała za rozpierzchniętem stadkiem. Albo porządek w wydatkach!.. Jej perswazje mężowi czynione tyle właśnie pomagały, co by pomogła polska grobla, oceanowi na tamę postawiona. Krajkowski zalał ją zawsze potopem mazurskich wykrzykników i przysłów, zahuczał śmiechem, zatumanił nowym nawałem gości. Robiła więc co mogla, i jako gospodyni takiego domu prawdziwych cudów gospodarskich dokazywała, dostarczając jakoś drobiu i pieczywa takiej zgrai, wiecznie objadającej pana Krajkowskiego. A po prawdzie i sama się zmieniła, o tyle przynajmniej, że się do gości przyzwyczaiła, których jak przybyli, karmiła aż do choroby; a jak ich nie było, to i jej zdało się, że czegoś brakuje w domu.

*

Nie będziemy szczegółowo rozpisywać się nad całą fetą, ani też wyliczać ile było półmisków i jakie, ile butelek i jakie napitki! Już to rzeczywiście było najprzód śniadanie tak sute, że nietylko wszyscy goście mogli by się obejść bez obiadu, ale i drugie tyle nowoprzybyłych gości mogłoby się nie najeść do sytu, ale napchać do zbytku. Ani też myślimy przytaczać rozmowy, jakie się przed, w czasie śniadania i po niem toczyły.

Byłoby to zanadto trudne, niewdzięczne i nudne zadanie, przeliczać całą tę sieczkę nakrajaną przez tyle ust. Było tam o tem wszystkiem, co nie jest czemsić; ot plewa parowym młynkiem na wiatr puszczona! szukaj że tam ziarnka. A przytem schwytajże, choćbyś miał rozum tak elastyczny jak piłka, a słuch przenikliwszy niż u kreta, schwytaj te rozmówki najróżnorodniejsze, połączone jeno ogólnym wrzaskiem, a podzielone na wszystkie onego piskliwe nuty. Stenografem takiej być rozmowy, nawet stenograf parlamentu Frankfurckiego był by nie potrafił. Łatwiej by przyszło sto listów dyktować razem, a nawet sto listów dyktowanych pisać razem.

Już to przed śniadaniem w całej fizjonomii towarzystwa przeważała niecierpliwość śniadaniowa, przy śniadaniu niecierpliwość objedzenia się jak najprędszego, po śniadaniu zaś niecierpliwość dowiedzenia się o właściwym powodzie tej uroczystości, którego każdy się domyślał na inny sposób, jeden dziwaczniejszy od drugiego. Bo w te urodziny czy imieniny pani Krajkowskiej nikt nie wierzył, przypominając sobie lata dawniejsze, a nawet niektórym zdawało się przypominać sobie, że ta solenizacja w innej zupełnie wypadała epoce. (C. d. n.)

Napomnienie.

— Nie spiewaj ptaszeczko,
Bo piosnka cię zdradzi,
Nagrodzi klateczką,
W niewolę wprowadzi.

A w klatce kto spiewa,
Ten spiewa ponuro,
Oj nie tak jak z drzewa,
Oj nie jak pod chmurą!»

Nie słucha ptaszyna,
Lecz piosnkę swą kończy,
I nową zaczyna,
I dalej spiew sączy.

I skacze w krzewinie,
Ptaszyna wesoła,
Nie pomnąc, że ginie,
Że siatka do koła!

Edward G....

NOWOŚCI LITERACKIE.

Spotkanie w Salzbrunn
opowiedziane przez J. Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy).

Przyjeżdża autor do wód Salzbruńskich. Opis kilku drobnych szczegółów z życia u wód, oddany z wielkiem życiem, i zawiązanie dalszej intrygi miłośnej artystycznie ułożone.

«Kto był u wód, choćby w Ciechocinku albo w Busku, ten wie dostatecznie jak tam czas zchodzi, jak szybko godzina goni za godziną w tem pozornem próżnowaniu, a w rzeczywistej pracy i walce z lenistwem i pokusami, które tak pociągają dla tej przyczyny, że zakazane. Otóż i mnie przeszło cztery tygodnie szybko, niepostrzeżenie, na walce ze snem rano i po obiedzie, na wyglądaniu kawy po wodach, na pracowitem zarabianiu na apetyt, który potrzeba było do tego stopnia doprowadzić, aby ciepłą wodę niemiecką mógł uznać rosołem, aby przetrawił przesolone i snadź w wapiennej wodzie konserwowane kotlety, aby przełknął sosy Hindemita i nie uciekł od widoku wiecznego kompotu ze śliwek lub czereśni, z którym obaczyć się musiał codzień. Przytem czułem się rzeczywiście orzeźwionym i uzdrawiającym zdrojem i lepszem może od samego zdroju powietrzem. Jakkolwiek więc przybyłem do Salzbrun źle uprzedzony, znalazłem wszystko, oprócz jedzenia, daleko znośniejszem, niż mi to wyobraził ów towarzysz podróży z Rokicin do Częstochowy. Tak więc pracując nogami i ciałem, myśląc ciągle o swojem zdrowiu, rozmawiając o pogodzie, o sztuce mięsa i o kompocie, odwiedzając okoliczne wzgórza i spoczywając po utrudzeniu, bawiąc się nawet i milszą czasem rozmową i towarzystwem kilku zacnych i wykształconych osób, zapominałem zupełnie a tym romansiku, którym soobie w drodze ułożył o mojej pięknej nieznajomej, o której los i pokój na chwilę zadrzałem i o powabnym mężczyznie którego może najniewinniej w myśli mej zrobiłem zwodzicielem i wystrychnąłem na szulera i awanturnika. Czasem tylko, zwłaszcza z początku, przypominałem sobie jego przestrogi, gdy mię szajchrajstwem swem rozgniewał gospodarz Komety, do której się nieszczęśliwie i w braku innego mieszkania dostałem, i gdym się przewracał na twardym materacu, za który rzeczywiście zbyt drogo trzeba było zapłacić. Ale w krótce oswoiwszy się z tem wszystkiem, nie miałem ani czasu, ani sposobności pomyśleć o tych dwóch zagadkowych dla

mnie istotach, które mi w przelocie mignęły, które mię na niejaki czas zainteresowały, a które w inną udawszy się stronę, losowi ich zostawiłem.

Ale na początku piątego tygodnia, korzystając z prześliczoego dnia i zakrytego przezroczystemi chmurami słońca, wybrałem sią przed obiadem na dalszą przechadzkę. Na połowie drugi między Salzbrun i Altwasser, gdzie są kąpiele, wznosi się góra, na której szczycie stoi oberża, mająca kilka ładnych pokoi, przyjmująca gości i na otwartem powietrzu i opatrzona we wszystkie przysmaki, jakie u wód są pozwolone, to jest w mleko, kawę, czereśnie i poziomki, a nadewszysko w pstrągi, które z wybornem choć słonem masłem, dają doskonałe śniadanie. Miejsce to nazywa się *Wilhelmshöhe*. Leży rzeczywiście wysoko i ma na około bardzo piękne widoki. Żeby odwiedzający je goście wyraźniej i bez żadnej przeszkody nacieszyć się mogli pięknościami natury, cisnącemi się tam zewsząd do ich oka, wybudowano nad domem oberzy wieżę, znacznie nad poziom wyniesioną, mającą tylko na szczycie galerją z muru chroniącą od upadku, a po czterech rogach na kilka schodków podniesione okrągłe altanki, gdzie się można wygodnie oprzeć i zatapiać wzrok daleko, aż do wysokiej góry Zopten, czerniejącej się ku północy, aż do miasta Strigau, którego wysoką katedrę, spoczywającą pod ochroną gór bazaltowych dobrze widać, a na prawo, po za czarnym Hochwaldem, panującym nad całą tą okolicą i służącym za barometr pogody, gdy wysokiego szczytu swego nie odziewa czepcem chmur, aż do dalekiej góry Schneekoppe, najwyższej między górami olbrzymiemi i zamykającej horyzont.

Kto po raz pierwszy z miejsca tego rzuci okiem w około, uczuje się aż nadto wynagrodzonym za trud nużącej cokolwiek przechadzki, podniesie się myślą do stwórcy, który tak cudną rozmaitością zakąt ten ziemi ubogacił, i pozazdrości ludowi, który tam osiadł, który tak czynnie, tak pracowicie, z takim przemysłem i wytrwaniem, korzystając ze skarbów złożonych tam na ziemi i w jej łonie, każdy załomek gruntu, każdą dolinkę, którą zamieszkuje, stara się użyźnić, ulepszyć i ozdobić.

Około godziny jedenastej przybyłem tam i przeszedłszy przez pierwszą izbę oberzy, kazałem sobie przyrządzić parę pstrągów na śniadanie, a zapaliwszy sygaro, usiadłem w miejscu chłodnem i zacisznem, aby odpocząć przed udaniem się na wieżę, gdzie zawsze wiatr jest nadzwyczaj silny, i gdzie znużonemu i spoconemu wchodzić niebezpieczno. Nie daleko odemnie na ławce siedział jakiś jegomość i drzymał. Był to człowiek już nie młody, a ze stroju, rysów twarzy, formy i zawiesistości wąsów, poznałem od razu że nie niemiec. Coś mi mówiło że to jest jeden z naszych zacnych ziemian, który tu pewnie przyjechał nie dla siebie, ale dla żony, którego te piękne, niemieckie widoki diable znudziły, i który myśląc zapewne o swej gorzelni i swych owcach, wśród tych powabów natury i ozdób niemieckiego porządku i przemysłu, zasnął sobie dla wypoczynku snem obywatelskim. Ciekawość mię wzięła kto to taki, gdyż dotąd ani na promenadzie, ani przy źródle, ani przy obiedzie nigdziem go nie spotkał. Chciałem więc zaczekać, aż się obudzi; ale że sen coraz cięższej spadał na jego powieki, nie śmiejąc mu przerywać tego błogiego stanu, zostawiłem go chrapiącego w najlepsze, a sam poszedłem na wieżę.

Gdym wyszedł na platformę, trzymając kapelusz który mi wiatr zrywał z głowy, postrzegłem w altance przeciwległej schodom kobietę, obróconą twarzą ku rozległej równinie, zasianej miasteczkami i wioskami i widnej prawie aż do Wrocławia. Z ubrania pełnego elegancyi znać było że pani ta ma gust i dostatek. Oparta była o brustwer altanki, jedną ręką trzymała się muru, na drugiej wsparła głowę, odzianą zgrabnym kapeluszem. Chociaż nie widziałem twarzy, pewny byłem, że to kobieta młoda i ładna, tak szykowna była jej kibić, tak pełnem gracyi ułożenie, tak piękną i malutką była nóżka, która wysuwała się lekko z pod sukni i spoczywała na schodku.

Stanąłem spokojnie i czekałem aż się odwróci. Zamiast patrzeć na rozległy i czarujący widok, który się w około roztaczał i przyzywał oczy, patrzyłem na młodą kobietę pogrążoną w myślach. I zaiste, nic na tem nie straciłem. Kobieta jest ostatniem i najdoskonalszem stworzeniem Bożem.

Żaden horyzont nie rozciąga się tak daleko, jak jej myśli, kiedy się unoszą ku Bogu, ku rodzinie, ku temu, którego wybrała, którego promieniami i blaskiem duszy swej zdobi i ozłaca, żadna puszcza nie jest tak głęboką i niezbadaną, jak jej serce, kiedy w niem silna i prawdziwa powstanie namiętność i wyruguje z niego próżność i miłość fraszek; żadna dolina nie jest tak powabną i ujmującą jak jej uśmiech, kiedy go rodzi miłość, kiedy nim pierwszy raz wyznaje, że kocha, kiedy zroszonem łzą okiem i uśmiechniętemi usty obiecuje, że miłość ta trwać będzie do grobu. Czym to wszystko wówczas pomyślał com teraz napisał, tego nie pamiętam, musiało mi coś podobnego snuć się po głowie, tak mię ta postać zajęła, tak cały krajobraz, który mię otaczał, znikł z przed oczu i w mgłę się jakąś zasunął. Trzy lub cztery minuty stałem nieporuszony, i ona stała także w jednakowem zamyśleniu, patrząc w jedno miejsce, ku stolicy Szlązka, jakby chciała dojrzeć jego murów i przepatrzyć ściany mnogich jego i kolosalnych domów. Po niejakim czasie podniosła głowę ku niebu, odjęła prawą rękę od twarzy, potem nachyliła się ku stronie miasta i posławszy tam komuś od ust pocałowanie, otarła oczy chusteczką i zwolna wracała się ku mnie. Była to moja nieznajoma. Poznałem ten sam kapelusz z błękitnym powojem, tę samę sukienkę, jaką miała w wagonie, poznałem to piękne lice, choć było bledsze, te cudne oczy, choć były zapłakane. Czy mię

poznała także tego niewiem, ale skoro mię dostrzegła, odwróciła się nagle, i już nie ku rozlegającej się na lewo równinie, ale ku porfirowym górom, które się za Waldenburgiem rozciągają, patrzeć zaczęła. Postąpiłem kilka kroków ku altance, na przeciwnym rogu wieży znajdującej się, i niby nie zważając na nią wcale, patrzałem w inną zupełnie stronę, nie myśląc wszakże o tych przedmiotach, które wzrok mój uderzały. Porwane nitki romansu, którym sobie w wagonie ułożył, zaczęły się związywać na nowo. Dochodziłem zkąd się tu wzięła, gdzie dotąd przebywała? czemu spotykam ją tak samotną na odludnej wieży? komu w tę przestrzeń daleką posłała pożegnanie? jakie wspomnienia czy boleści, która trwa, czy szczęścia, które przeminęło, wycisnęły te łzy, które ocierała i które samotnie i wtedy tylko, kiedy tego nikt nie widzi, wylewa? wszystkie te pytania szybko przesuwały mi się przez głowę i tak mię zajęły, żem nie uważał, jak trzeci jeszcze aktor zjawił się na tej scenie, gdzie się ten niemy odgrywał dramat. Był to ten sam jegomość, któregom chrapiącego na dole zostawił. Wszedł sapiąc i stukając laską, a gdy cokolwiek odetchnął i umocował na głowie swój kapelusz biały z wielkiemi połami, który mu także wiatr zrywał i który chociaż zapewne we Wrocławiu kupiony, dawał mu niezmiernie gospodarską minę, rzekł:

— Ależ moja Karolinko! czyż się godzi tak długo stać tu na takim wietrze? Toż żeby te Niemcy zrobili tu wiatrak, mełby im bez ustanku i ładną mieliby intratę. Przeziębiwszy się, moje życie, zamiast kuracyi, będzie choroba.»

Poznaje męża pięknej damy. Scena zdybania żony poezyjnie zamyślonej z prozaicznym mężem, i później z kochankiem po mistrzowsku oddana.

«Moja nieznajoma drgnęła, jakby ją prąd elektryczny dotknął, przy pierwszych słowach owego pana, którego powołanie i narodowość odgadłem, co, nawiasem mówiąc, niemało mię ucieszyło. Gdy skończył, obróciła się ku niemu i jak ze stali zsuwa się para oddechu, tak z jej twarzy zsuwało się zamyślenie i smutek, który widać ukrywać musiała. Z uśmiechu więc i jakby z wdzięcznością, że przyszedł aż do niej i taką jej okazuje troskliwość odpowiedziała:

— Dziękuję ci mój drogi, żeś się aż tu fatygował; ale nie bój się, nic mi się nie stanie. A tu tak ładnie.

— Ładnieć tu jest, to prawda, rzekł szlachcic, oglądając się na około i łapiąc znowu za kapelusz, który wiatr podnosił. Ależ i z dołu to samo widać, a przynajmniej tam czapka siedzi na głowie i nie grozi człowiekowi romatyzm.

— To chodźmyż, kiedy się tak boisz romatyzmu, rzekła prawie wesoło, zeskoczyła ze schodków zgrabna i lekka, jak sarneczka, przysunęła się do niego blizko, pogładziła go po twarzy, i uwiesiwszy się na jego ramieniu dodała: Przepraszam cię, mój drogi, żeś się tam znudził czekając na mnie. Takem się zapatrzyła, żem zapomniała o wszystkiem. Cóż to za cudna natura.

— Nie masz mię za co przepraszać, mój aniołku, rzekł szlachcic patrząc na nią mile. Ja tam nie nudziłem się wcale. Wyspałem się tymczasem, nim ty tu napatrzyłaś się na tę cudną naturę.

— Doprawdy! zawołała kobieta zaśmiawszy się głośno. Więc ja tu tak długo byłam?

— A! zapewne że długo, odpowiedział śmiejąc się także, kiedym ja miał czas porządnego szpaka uciąć.

— To doskonale! rzekła, pójdźmyż teraz. Będziesz miał lepszy apetyt.

I puściwszy jego rękę, poszła naprzód ku schodkom, ale przechodząc rzuciła na mnie wzrok tak wymowny, tak wyrazisty, żem zrozumiał, iż mię poznała, że nie wątpiła o mojej domyślności, że była pewna mojego milczenia i dyskrecyi. Miałem o czem myśleć. Ta nowa komplikacja intrygi, która się tak tajemniczym sposobem przed oczami memi snuła, zajęła mię tak, żem zupełnie zapomniał o pstrągach. Usiadłem więc na schodkach altanki, i wsparłszy głowę na ręku, pogrążyłem się w najrozmaitszych kombinacjach, do jakich to, com widział i czegom się domyślał dawało mi powód. Dopiero gdy dziewczyna z oberży przyszła po mnie, i widząc mię w tak głębokiem zamyśleniu, zaśmiała się i zawołała: *Ach du lieber Gott ! Sie haben ja ganz vergessen, dass die Forellen fertig sind*, zerwałem się z miejsca i pobiegłem na dół. Ale już tam nie było nikogo, tylko kilku Niemców podróżnych, pijących piwo i admirujących naturę.

C. d. n.

Cesarz Mikołaj
i jego córka.

Przed niedawnemi laty żyła w Petersburgu dziewica tak cudownie piękna, że gdyby ją najpierwszy z książąt europejskich zdybał w chacie wieśniaczej, chętnie by się odwrócił od cór książęcych, aby jej oddać serce, rękę i tron swój książęcy. Ona światło dzienne ujrzała w jednym z najpyszniejszych pałaców, i wzrosła przy jednym z najdumniejszych w Europie tronów. Ta dziewica była *Marja Mikołajówna*, córka wszech władzcy rossyjskiego. Ojciec patrząc jak już dojrzewa i kwitnie prawdziwym kwiatem majowym, i wiedząc że o jej rękę mają zamysł starać się najpierwsi z synów monarszych, postanowił wydać ją za najpiękniejszego, najbogatszego i najpotężniejszego z pomiędzy nich.

I rzekł do niej z uśmiechem ojca i władzcy.

— Dziecię moję! jesteś już w wieku, w którym czas pomyśleć o mężu. Ja wybrałem dla ciebie męża, który cię królową zrobi; męża który cię zrobi szczęśliwą.

— Męża który mnie szczęśliwą zrobi? wyrzekła zarumieniona carówna z cichem westchnieniem.

To był jedyny zarzut, jaki sobie zrobić pozwoliła, ale ujrzawszy marszczące się ojca czoło dodała co prędzej;

— Wybierz ojcze! ja ci będę posłuszną.

— Posłuszną! odrzekł cesarz, i pierwszy może raz w życiu zadrzał.

— Więc tylko przez posłuszeństwo, mówił dalej, przyjmujesz męża z ręki mojej?...

Córka milczała starając się ukryć łzę zdradziecką.

— Czyliż innemu przyrzekłaś już wiarę?...

Dziewica strwożona milczała ciągle.

— Wytłumacz się jasno!... Marjo ja ci rozkazuję.

Na te słowa których 60 milijonów ludzi kornie słuchają, upadła carówna do nóg ojca.

— Tak jest ojcze! kiedy każesz wyznam ci, że serce moje nie jest wolne! odrzekła. Jam je oddała młodzieńcowi, który nie wie o tem, i wiedzieć nie będzie, jeżeli takie twoje życzenie. Widział mnie parę tylko razy z daleka, i nigdy z sobą mówić nie będziemy, jeżeli mi to zakazujesz.

Teraz cesarz zamilkł, pobladł, trzy razy przeszedł się po obszernym pokoju. On bał się zapytać ją o nazwisko. On który by gotów dla kaprysu walczyć naprzeciw wojskom wszystkich najpotężniejszych monarchów, on przy całej swej ludzkiej wszechwładności, bał się tego nieznajomego młodzieńca, który mu gotów wydrzeć najdroższy jego klejnot.

— Czy jest królem?...

— Nie ojcze!

— Ale przynajmniej dziedzicem tronu?...

Nie ojcze!

— Więc nie synem królewskim?

— Nie ojcze!

— Ależ przecie potomkiem panującej rodziny.

— Nie ojcze!

Za każdem pytaniem, któiem musiał coraz niżej schodzić po szczeblach swojej dumy ojca i cesarza, zatrzymywał się chwilę, bo mu tchu brakowało.

— Cudzoziemiec?..

— Tak jest ojcze.

Cesarz upadł na krzesło i oczy zakrył dłonią, jak Agamemnon przy ofierze Ifigenii.

— Czy tu jest w Rossji? spytał znowu z najwyższem natężeniem.

— Tak jest ojcze!...

— Tu w Petersburgu?

— Tak jest ojcze!

Tu głos księżniczki stawał się coraz słabszy.

— I gdzież go zobaczę? zapytał znowu powstając z krzesła z groźną postawą.

— Jutro na rewii.

— I po czemże go poznam? wyrzekł tupając nogą.

— Po jego zielonym pióropuszu i czarnym koniu!

— Dobrze! dobrze! idź już teraz moja córko.

Po oddaleniu księżniczki, bliskiej zemdlenia, cesarz zamyślił się głęboko.

— Dziecinne zachcenie jakieś mówił sam do siebie. Śmieszny jestem, że się tem niepokoję... Zapewne go... musi zapomnieć!..

Zadrzały mu usta, bo nie śmiały wymówić co dodało ojcowskie serce:

— Tak musi! lecz czy całej mojej władzy nie przeważyłyby jej łzy.

(D. n.)

Rozmaitość.

* **Indjańska sprawiedliwość.** Amerykańskie gazety podają następujący rys kar indyjskich, mały ustęp z karnego ich kodexu. Jeden Indyanin świeżo zabił po pijanemu żonę własną. Najstarsi szczepu do którego należał, skazali go na największa karę jaka dotyka tych tylko, co najbliższych mordują krewnych. Dano mu naprzód siekierę aby nią sam pomagał do zrobienia własnej trumny, wyciosanej z grubego pnia wydrążonego i przez pół przepiłowanego. Potem przywiązali go do drzewa, na którym miał odbywać karę. I szerokiem kołem zasiedli w koło niego, rozpaliwszy ognisko, oświecające twarz nieszczęśliwego. A przy ogniskach siedząc, pili ognisty trunek, jak Indyanie wódkę nazywają, śpiewali pieśni bohaterskie, dzikie swoje tańcowali tańce. Od czasu do czasu przestał jeden lub drugi, i puścił strzałę swą w ciało skazanego. Tak się dzień jeden zakończył, i tak zaczęła pierwsza noc przebyta w podobny zupełnie sposób Tak ch dni i nocy przeszło si dm; Indyanin żył ciągle. Aż dopiero siódmego dnia spadła mu głowa, umęczony przestał żyć.

* Znane Lwowianom są dokładnie z sceny lwowskiej pani Aszpergerowa i panna Kotowska. Jakże zdziwiono się powszechnie gdy Recenzent teatru w Czasie, donosząc o wystąpieniu pani Aszpergerowej, paralelę robi między obydwiema. Jednej przyznaje więcej talentu do tragedyi, drugiej do komedyi i ról salonowych. Ach panie Recenzencie, zkądto bierzesz twoje pojęcia o sztuce! Przypominasz owego wieśniaka któremu wieże miasta z daleka wydają się nie większe jak w jego wioszczyznie.

* Dnia pierwszego Grudnia zmarł we Lwowie Ignacy Szumlański były kapitan wojsk polskich, z czasów napoleońskich.

* Dnia 1go Grudnia miano w Dublanach szkołę agronomiczną otworzyć, jak to ogłoszenie zapewniało. Lecz dotąd to nastąpić niemogło. z powodu iż dotąd zamianowani profesorowie nie przybyli.

Pana Michała Niesiołowskiego zastała nominacja w Paryżu i w tych dniach ma przybyć. Pan Maxymilian Żełkowski zaś położył z swej strony warunki, o których jeszcze podobno wątpliwa czy je komitet przyjmie.

Wpisanych jest do szkoły agronomicznej dotąd przeszło 20. uczniów, z których pięciu już przybyło do Dublan. Miejsca w samym zakładzie jest na 30 uczniów.

Przyjechali od dnia 30. Listop. do 3. Grudnia do Lwowa.

PP. Dzieduszycki Juliusz, z Zółkwi. Płowiński Karol, z Czerniowiec. Wojnarowicz Dyonizy, z Rzeszowa. Hr. Drohojewski Józef, z Balic. Turkuł Onufry, z Ichrowiec. Jordan Teofil z Nowosiółek.

PP. Orłowski Kal., z Lisowiec. Padlewski Stef., z Lachodec. Miączyński Jan, z Lachodec. Romanowski Emeryk, z Krakowa. Słonecki Edm., z Dublan. Kułakowski Kasp., z Kamionki. Mauthner Maciej, z Gródka. Hurmuzaki Izydor, z Krakowa. Jabłonowski Józef, z Rawy. Gutowski Kaz., z Stryja. Wolański Erazm, z Czernokoniec.

PP. Eminowicz Kajetan, z Smerekowa. Wiktor Jan, z Glinska. Jankowski Ludwik, z Borzykowa. Jaworski Józef, z Kobyliniec. Herman Łucjan, z Wołkówa. Skrzyński Ludwik, z Nozdrca. Hr. Stadnicki Edward, z Krysowic. Glixelli Teodor, z Glinian. Męciński Franciszek, z Hut zielonych.

Xiężna Sapieha Jadwiga, z Krakowa. Korwin Jan, z Jureczkowa. Korwin Mikołaj, z Jureczkowa. Jakubowski Jakób, z Krakowa. Zarewicz Władysław, z Zawadki. Lunda Edward, z Siedlisk. Błażowski Krzysztof Br., z Jazłowca.

Wyjechali od dnia 30. Listop. do 3. Grudnia ze Lwowa.

PP. Ciemierzyński Mich., do Brzozdowiec. Hermann Łuc., do Wołkowa. Skorobohaty Eliasz, do Stryja. Skarbek Borowski Maciej, do Hurka. Pawlikowski Emil, do Rossolina. Wiktor Jan, do Glińska. Hr. Rej do Rzeszowa.

PP. Abancourt Xawery, do Łówcza. Gástej Włkdysław, do Cebrowa. Rozwadowski Józef, do Tarnopola. Czajkowski Hipolit, do Sarnik. Krzysztofowicz Krzysztof, do Wydanowa. Schubert Antoni, do Węgier. Borkowski Włodzimierz, do Stryja. Tchórznicki Maksymilian, do Komarna. Sobota Karol, do Podhorek. Hr. Karnicka, do Krakowá.

PP. Rubczyński Wład., do Papajowicz. Gnoiński Alex., do Krasnego. Słonecki Edw. do Stanisławowa. Delmary Wik., do Krakowa. Załęski Gabriel, do Przemyśla. Łopuszański Antoni, do Złoczowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 30. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	112	Pożyczka 5%	$73^{3}/_{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$81^{3}/_{4}$	Akcye banku	920
Londyn za 1 funt szterl.,	$10\ 53^{1}/_{2}$	Kolej północna	2040
Medyolan za 300 lirów	111	Obl. ind.	$68^{3}/_{8}$
Paryż za 300 franków .	$129^{7}/_{8}$	Nowa pożyczka z loterya	$96^{7}/_{8}$
Agio duk. ces. . . .	$16^{7}/_{8}$	Pożyczka narodowa . .	$76^{13}/_{16}$

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówka				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	11	złr.	5	kr	15
Dukat cesarski	«	5	»	16	»	5	»	20
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	2	»	9	»	5
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	43	«	1	»	44
Talar pruski	»	1	«	39	»	1	«	41
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	12	»	1	»	14
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	88	«	30		89	»	—
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		68	»	20	»	68	«	50
5 proc. pożyczka narodowa		76	»	15	»	77	»	—

PODZIĘKOWANIE.

Będąc dłuższy czas choroby mojej, to jest wodnej puchliny będąc leczonym przez najdoskonalszych i najsławniejszych lekarzy, gdy w końcu i ci chorobę moją za nieuleczoną uznali i chcieli mnie poddać operacyj pompowania, o której słyszałem że wyjście słabego jest nader rzadkie i wątpliwe, postanowiłem oddać się w opiekę naszemu rodakowi, niedawno do nas przybyłemu, Drowi Władysławowi Skałkowskiemu, któremu udało się za pomocą sztuki, nieskończoną pilnością i troskliwością, mnie radykalnie z tej słabości wyprowadzić. Za co mu ja i moja familia, której ten wielce szlachetny i uczony mąż im, mnie prawie z grobu powrócić raczył, dozgonną wdzięczność winniśmy, i czujemy zarazem obowiązek cierpiącej publiczności dać ten czyn do wiadomości.

Lwów dnia 30. Listopada 1855.

(231 1) **Alfred Karczewski.**

Zakład ortopedyczny
w Wrocławiu.

Zakład ortopedyczny od roku 1754 w Wrocławiu istniejący a znajdujący się tam przy ulicy *Klostergasse pod Nrem 54*, straciwszy w sobie Dra Remera, radcy medyc. i professora wszechnicy, założyciela, jako też i w sztuce biegłego i nieustannie czynnego dyrektora, niżej podpisany z dnia 21. października r. b. objął przewodnictwo nad rzeczonym Instytutem.

Uwiadamiając o tem szanowną Publiczność, przyrzeka, że wraz z panią Fritsch i Drem Asch, którzy ś. p. poprzednika mego tak skutecznie podpierali, wszelkiego dokładać będzie starania, aby i nadal zakład godnie odpowiadał celowi swemu a przeto i zamiarom założyciela.

Plan Instytutu oraz i warunki przyjęcia tym czasem żadnej nie podlegają zmianie. Osoby pragnące być przyjętemi raczą zgłosić się w samym zakładzie, a to między godziną 11 — 12 z rana.

Wrocław, d. 26. Paźdz. 1855 r.

Krocker

(130 1—1) Dr. medyc. i chirurgii.

DONIESIENIE
względem wytłoczenia wzorów do haftowania.

Handel towarów bławatnych i lnianych G. Sopucha „pod piękną polką" we Lwowie przy ulicy halickiej pod liczbą 242 poleca swój dobrze zaopatrzony skład wszelkiego rodzaju płócien, stołowej bielizny, dymki, chustek jako też wszelkie gładkie wzorowane i haftowane towary białe.

Donosi oraz, że najnowsze wzory do haftowania na jakiejkolwiek materyi tamże się odtłaczają.

(203 8—10)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcją: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**